

opusdei.org

Początki pracy apostolskiej Opus Dei w Polsce (1980-1990)

Wspomnienia Ricardo Estarriol (1937-2021). Fragment jego książki "Un corresponsal en el frío" (Korespondent na mrozie).

02-09-2022

Korespondent na mrozie W swoich wspomnieniach Estarriol zabiera czytelnika w liczne wydarzenia, które ukształtowały Europę, jaką znamy, dzięki jego pracy

dziennikarskiej w krajach takich jak Polska, Związek Radziecki i Jugosławia. Więcej o książce

ROZDZIAŁ 13B - OPUS DEI W POLSCE

Pisanie wspomnień zajęło mi dużo czasu. Teraz robię to z mocnym zamiarem opowiedzenia o kilku rzeczach, które sprawiły, że moje życie jest niezasłużonym darem od Boga. Dane mi było być świadkiem (a czasem aktorem) wydarzeń epoki, która naznaczyła historię świata, a także historię Kościoła. Oczywiście miałem zwycięstwa i porażki, widziałem zwycięstwa i porażki innych.

Aby było to możliwe, w swojej narracji musiałem skupić się na kilku bardzo konkretnych momentach mojego życia, rezygnując z opisu innych wydarzeń, które najprawdopodobniej zainteresowałyby czytelników.

To, czego nie udało mi się zrobić, to zubożenie mojego życia poprzez podzielenie go na tematy: tu - polityka; tam - moje życie religijne; obok - sprawy zawodowe; gdzie indziej - rodzina; dalej - sprawy wojskowe; poza tym - sport...

Staram się oddać i zrelacjonować rzeczywistość mojej życiowej podróży z tą samą autentycznością, z jaką zawsze starałem się pisać relacje dziennikarskie. Kiedyś poczułem się urażony, gdy dowiedziałem się, że koledzy z redakcji nadali mi przydomek "notariusz", ale potem pomyślałem, że taki przydomek może mieć pozytywne znaczenie. Zrozumiałem to także wtedy, gdy po latach przeczytałem gawędziarskie relacje, które polscy agenci kontrwywiadu pisali o mojej pracy: byli zdumieni moją manią szczegółu.

W imię tej autentyczności opisuję różne poziomy mojego życia

osobistego. Ponieważ Bóg wprowadził mnie na drogę powołania, by szukać świętości w swojej pracy, od młodości starałem się odkrywać boskie korzenie mojej pracy zawodowej. Piszę tu "próbowałem", bo jeszcze dziś, gdy piszę te linijki, próbuję i na razie mogę tylko powiedzieć, że "pracuję nad tym".

W każdym razie taka „próba” była integralną częścią mojej pracy zawodowej, na przykład gdy próbowałem odkryć obraz Boga w śląskich górnikach, którzy towarzyszyli mi w wyrobiskach węglowych o głębokości 60 metrów. Albo gdy prosiłem o przebaczenie Pana (a czasem świętą Barbarę, która jest patronką górników), gdy w nocy - po zrobieniu rachunku sumienia - uświadamiałem sobie, że absurdalny strach, jaki odczuwałem, będąc w grzechoczącym górniczym koszu-windzie, spowodował, że straciłem

nadprzyrodzone widzenie. Łatwiej było dziękować Bogu, gdy wszystko szło dobrze, na przykład gdy widziałem niezapomniany okrągły drewniany stół w *Pałacu Radziwiłłów* w Warszawie, przy którym uzgodniono demokratyczną drogę dialogu. Dziękowałem Bogu, gdy słuchałem wypowiedzi Wałęsy, albo gdy spotykałem się na drinkach z grupą dobrych znajomych, którzy nie byli wierzący, a w myślach prosiłem ich aniołów stróżów, by dali im wiarę. Ale starałem się też modlić nie tylko za ofiary, ale i za kompanie "ZOMO" (policja uderzeniowa), które były ofiary.

Napisałem powyższe, aby uniknąć interpretacji, które ktoś nie rozumiejący wiary konsekwentnego chrześcijanina mógłby nadać moim opowieściom. Więcej: nie chciałbym, aby ktokolwiek zrozumiał, że moje powołanie niesie ze sobą jakieś szczególne przesłanie polityczne czy

doczesne. Nie przeprowadzałem z nikim wywiadów ani nie pisałem pewnych rzeczy na pewne tematy "ponieważ byłem z Opus Dei", ale dlatego, że chciałem, aby moi czytelnicy poznali prawdę, której byłem świadkiem.

Dlatego w tej książce zebrałem różne aspekty mojego życia, które nie są "pomieszanymi wątkami", ale różnymi poziomami tej samej rzeczywistości, która w jakiś sposób zawsze była wyzwaniem dla mojego życia jako chrześcijanina w służbie ludziom i Kościołowi, w ramach moich naturalnych osobistych słabości.

W tym rozdziale starałem się bardziej skupić na poziomie tego, co było moim życiem rodzinnym, czyli życiem mojej wielkiej rodziny Opus Dei.

WOLONTARIUSZE Z EUROPY PRACUJĄ JAKO ROBOTNICZY NA ŚLĄSKU

Ożywienie religijne w Polsce po wyborze kardynała Wojtyły na papieża było niezaprzeczone. W tych kilku chwilach, w których absorbująca praca dziennikarska pozostawiała mi wolne, mogłem kontynuować przygotowania do rozpoczęcia pracy duszpasterskiej i apostolskiej Dzieła w Polsce. Żeby było jasne: podczas gdy moi koledzy dzwonili do swoich żon lub mężów, ja rezerwowałem noclegi na wolontariat społeczny w Polsce.

Śląskie miasto Pszczyna (50 tys. mieszkańców) leży na południe od Katowic, na byłej linii demarkacyjnej terenów zaboru Polski między Austrią i Prusami, zaledwie kilka kilometrów od nazistowskiego obozu koncentracyjnego Auschwitz. Wielokrotnie odwiedzałem Śląsk.

Latem 1986 roku pojechałem do Pszczyzny, nie po to, by spotkać się ze zbuntowanymi związkowcami czy przedstawicielami administracji państwowej, ale by zobaczyć, jak działa ambitny międzynarodowy projekt wolontariatu społecznego, który powstał w wyniku współpracy dzieł korporacyjnych Opus Dei w ośmiu krajach europejskich. Nie organizowałem go, ale byłem entuzjastycznym doradcą tych, którzy organizowali projekt.

W Pszczyźnie (po hiszpańsku brzmi to coś jak "P'stchena") miałem spotkanie z dynamicznym polskim proboszczem nazywającym się Józef Marek. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem w baraku, był oprawiony w ramki obrazek chłopca o imieniu Rafael, umieszczony u stóp figury Matki Bożej w tymczasowym pokoju księdza Józefa, który służył mu jako biuro parafialne, jadalnia, konfesjonał, sypialnia i gabinet do

pracy. Ramka miała czarną obwódkę, a obok niej leżał bukiet świeżych kwiatów.

Rafael był Rafaelem Landą, bystrym młodym człowiekiem z Vitoria-Gasteiz, który w czerwcu 1986 roku ukończył szkołę średnią i chciał w październiku wstąpić na uniwersytet. Wraz z grupą kolegów z klasy postanowił spędzić sporą część wakacji pomagając w budowie szkół, kościołów i ośrodków społecznych w nowej parafii w Pszczynie na polskim Górnym Śląsku.

Inicjatywa została wymyślona przez austriackich studentów z Wiednia, Grazu, Salzburga i Innsbrucka, a koordynowana przez wiedeńską rezydencję Birkbrunn, którą przedstawiłem już czytelnikom w rozdziale trzecim, a która stała się jednym z najbardziej aktywnych nieoficjalnych ośrodków uniwersyteckich w stolicy Austrii.

W wyniku inicjatywy z 1986 roku około 300 studentów uniwersyteckich z siedmiu krajów Europy Zachodniej pracowało - w różnych zmianach - jako robotnicy przez trzy miesiące przy budowie kościołów i ośrodków społecznych na Górnym Śląsku. Polskie władze doceniły tę inicjatywę młodych ludzi ze starego kontynentu, która była równie spontaniczna, co zadziwiająco dojrzała i realistyczna. Byłem wówczas przekonany, że akcja ta - która wywołała niespodziewane echo solidarności w Polsce i poza jej granicami - była sposobem na wcielenie w życie nowych tendencji, które umożliwiły wspólnej komisji Episkopatu Polski i rządu dyskusję nad "możliwościami wdrażania nowych publicznych i społecznych form prawnoinstytucjonalnych dla dobra narodu i grup społecznych, zwłaszcza zorientowanych na światopogląd katolicki", jak czytam w odpowiednim wspólnym

komunikacie opublikowanym w Warszawie.

Rafael Landa nie zdołał jednak dotrzeć do Pszczyny: tragiczny wypadek samochodowy na austriackiej Westautobahn w pobliżu Amstetten skrócił jego życie. Po dwóch dniach spędzonych na oddziale intensywnej terapii jego organizm nie wytrzymał poważnych obrażeń i Rafael zmarł po tym, jak mógł zobaczyć swoich rodziców, którzy natychmiast przyjechali z Madrytu do Austrii.

Reszta grupy Hiszpanów, do której należał Rafael, nie mogła sobie wyobrazić, że wiadomość o śmierci Rafael wywoła takie poruszenie w polskiej społeczności Pszczyny: górnicy o pokaleczonych dłoniach i zmarszczkach na twarzach, naznaczonych pyłem z kopalni, nie mogli powstrzymać łez podczas uroczystej mszy za zmarłego, która

została odprawiona w kościele barakowym, obok świeżo wylanych fundamentów budowanego kościoła, w którym Rafael chciał pracować. Śląskie dziewczęta i kobiety z Pszczyzny - w kraju, gdzie kwiaty mają dużą wartość symboliczną - przyniosły je w hołdzie młodemu Hiszpanowi, którego nigdy nie poznały.

Budować tu kościoły to nie tylko budować kościoły, wyjaśnił mi Martin Kugler, jeden z austriackich organizatorów, uciekając się do prawie nieprzetłumaczalnej gry słów po niemiecku: *Kirchenbau ist hier nicht einfach nur Kirchen bauen*. Według Kuglera, 23-letniego studenta historii, pomoc polskim katolikom w budowaniu kościołów oznaczała pomoc w ustrukturyzowaniu ich życia społecznego, bo - mówił - budując kościół buduje się szkołę, centrum społeczne, tworzy się strukturę komunikacji społecznej. W

istocie w tej sytuacji Kościół polski podejmował w kraju szereg funkcji pomocniczych, nie tylko religijnych, ale także społecznych, kulturalnych i edukacyjnych.

Na początku owych z angielska: work campów (w lipcu 1986 r.) śląska telewizja lokalna komentowała tę inicjatywę nieco ironicznie: *podczas gdy holenderscy katolicy zamykają swoje kościoły, holenderscy studenci przyjeżdżają do Polski budować nowe kościoły* - powiedział jeden z prezenterów. W rzeczywistości przymusowa industrializacja Śląska przyciągnęła do tego regionu ogromną ilość robotników z innych części kraju. Władze realizowały szeroko zakrojony program budowy mieszkań (miasta sypialnie), ale infrastruktura pozostawała w tyle. Diecezja uważnie śledziła cały proces: gdy tylko powstała nowa aglomeracja, biskup tworzył z niczego parafię i wysyłał na miejsce

proboszcza z niczym więcej niż dekretem nominacji. Proboszcz automatycznie stawał się organizatorem nowej wspólnoty, w czym mógł w pełni polegać na swoich parafianach, którzy musieli zorganizować wszystko, od wynegocjowania gruntu pod nowy budynek, zamówienia planów, znalezienia materiałów budowlanych i podzielenia zmian roboczych, zwykle po przepracowaniu ośmiu godzin pod ziemią w kopalniach węgla.

W czasie, gdy pojechałem tam, by się o tym przekonać, diecezja katowicka (śląska) budowała w ten sposób... 102 kościoły. *Nie myślcie, że są to budynki improwizowane i źle skonstruowane*, wyjaśnił inny z hiszpańskich uczestników, architekt z Generalnej Dyrekcji Sztuk Pięknych w Ministerstwie Kultury, José Sancho Roda: *są to budynki o niezwyklej wartości architektonicznej i*

znacznych rozmiarach: w jednym z miejsc chłopaki budują kościół z 1500 miejscami dla siedzących. A to już dużo jak na kościół.

Oto jak widział sprawy pewien genueński student, gdy wiózł taczkę pełną zaprawy: *papież od lat wzywa do rechrystianizacji Europy, prawda? Cóż, miałem już dość mówienia i słuchania o "strukturach", "podnoszeniu świadomości" i tym podobnych: przyszedłem pomóc, a pomoc jest tu potrzebna. Co więcej, świetnie się przy tym bawię.*

Grupy studentów z Austrii, Włoch, Hiszpanii, Francji, Wielkiej Brytanii, Belgii, Holandii i Niemiec pracowały przez trzy letnie miesiące w trzech parafiach: Kostuchnie (w granicach miasta stołecznego Katowice), Tychach i Pszczynie. Pięć godzin pracy dziennie, ponieważ studenci nie byli przyzwyczajeni do pracy fizycznej i nie byli w stanie fizycznie

wykonać więcej. Popołudniami i wieczorami mieli wykłady, warsztaty i zajęcia, niektóre z nich na państwowych uczelniach; w Katowicach i w pobliskim Krakowie. Ale wszyscy dowiedzieli się czegoś nowego: *nasi parafianie, którzy - po trzech latach budowy - zaczęli być zmęczeni pracą, byli zachęceni faktem, że młodzi obcokrajowcy przychodzili im pomagać, powiedział mi inny z proboszczów, który - mimochodem - zdradził taki szczegół: popatrzcie, te dzieciaki nie tylko same zapłaciły za drogę na Śląsk, ale też oddały parafii prawie całą kwotę obowiązkowej wymiany, jaką muszą zrobić przy przekraczaniu granicy, w wysokości ośmiu dolarów na osobę dziennie.*

Jedną z rzeczy, która najbardziej uderzyła Polaków, było doświadczenie, że nie wszystko, co przychodzi z Zachodu, to kapitalizm i konsumpcjonizm: *Wreszcie*

zobaczyliśmy, że możemy się wiele nauczyć od naszych braci w wierze na Zachodzie, skomentował mi Szytygar (nadzorca szybu, najwyższy stopień wśród śląskich górników) przed jednym z kościołów - baraków, gdzie grupa francuskich i belgijskich studentów wracających z pracy poszła się pomodlić.

Organizatorzy planowali kontynuować akcję następnego lata. Napisałem raport na temat tej inicjatywy dla *La Vanguardia*. Otrzymał więcej cytowań niż mogłem sobie wyobrazić, ponieważ zarówno *El Correo Español/El Pueblo Vasco*, jak i *Heraldo de Aragón* (które publikowały moje relacje) nadały mu dużo rozgłosu. Następnie zorganizowałem kilkudniowe seminarium w Centrum Konferencyjnym Hohewand (koło Wiednia) z europejskim sympozjum pracowników naukowych z dziewięciu krajów, z udziałem

wybitnych osobistości, takich jak kardynał Franz König i profesor Stanisław Stomma. Tematem przewodnim był dialog Wschód-Zachód. Prezydent Austrii oficjalnie powitał uczestników i gorąco pochwalił wspaniałą inicjatywę młodych ludzi, którzy nie zadowolają się słowami, ale chcą przejść do czynów.

WSPINACZKA GÓRSKA W TATRACH NADZOROWANA

Czasami jeździłem zimą do Warszawy, a weekendy spędzałem z młodymi przyjaciółmi z Krakowa jeżdżąc na nartach po stokach Kasprowego Wierchu. Przy tych okazjach naturalnym było spędzenie trochę czasu na wspólnej modlitwie. Przy innej okazji, wiosną, przekroczyliśmy Kasprowy Wierch w kierunku wschodnim, mijając Kozi Wierch ^[1] i podążając grzbietem stanowiącym granicę ze Słowacją.

Śniadanie zjedliśmy w schronisku, a stamtąd wspięliśmy się na szczyt (1965 metrów). Gdy szliśmy już pół godziny, zauważyłem, że około pięćdziesięciu metrów dalej stoi inny taternik w dobrych butach, ale bez plecaka czy torby. Kiedy się zatrzymaliśmy, zwolnił. Gdy po drodze dotarliśmy na jeden ze szczytów, postanowiliśmy zjeść obiad z niesionego przez nas prowiantu. Nasz towarzysz usiadł nieco dalej. W końcu postanowiłem się z nim przywitać i zaproponować mu jedną z kanapek, które mieliśmy przy sobie, a przede wszystkim wodę (która w tych warunkach była bardzo wskazana). Był wdzięczny, ale nie przyjął jej. Na pewno słyszał, jak o dwunastej modliliśmy się na *Angelus*.

Planowaliśmy zjechać inną drogą do małej wioski, gdzie wiedzieliśmy, że jest autobus, który zawiezie nas na nasz parking. Zanim ruszyliśmy w

dół drogi, podszedłem ponownie do naszego opiekuna i powiedziałem mu dokładnie, gdzie schodzimy, w której wiosce wsiądziemy do autobusu i gdzie jest mój samochód. W tym momencie jego twarz rozjaśniła się, powtórzył opis mojej trasy, podziękował mi i zobaczyłem gest odprężenia, kiedy zostawił nas, aby wrócić do miejsca, w którym zaczęliśmy. Moi przyjaciele nie czytali Johna Le Carré i do tej pory nie zdawali sobie sprawy, że byliśmy pod ścisłą obserwacją państwowej służby bezpieczeństwa. "Wodzirej" moich przyjaciół, Marek, skomentował rozbawiony na koniec *It's been the most exciting high mountain trip of my life* (to była najbardziej ekscytująca wysokogórska wędrownia w moim życiu).

KSIĄŻKI ŚWIĘTEGO JOSEMARI

Pod koniec lat siedemdziesiątych poświęciłem sporo czasu na działania związane z kształceniem studentów w Wiedniu, zwłaszcza tych, którzy uczęszczali do Birkbrunn Residence-Academy, której byłem jednym z inicjatorów już w 1964 roku.

Byliśmy na kilku wycieczkach w Polsce, zarówno wiosną jak i zimą, mieliśmy wspólne zajęcia ze studentami z południowej Polski, którzy z kolei robili wycieczki do Austrii, kiedy tylko mogli. Była to jedna z klasycznych form apostołstwa, których uczyliśmy się od św. Josemarii. Towarzystwo naszym przyjacielom w pracy, sporcie czy działalności kulturalnej, pokazywanie im bez sztuczności i pedagogicznych gestów, jak mogą odkryć boskie korzenie we wszystkim, co robią, i ukazywanie im atrakcyjności Osoby Jezusa. Niektórych z nich zabierałem

samochodem. Te podróże zrodziły potrzebę posiadania kilku książek św. Josemaríi w języku polskim. W 1966 roku nakładem londyńskiego wydawnictwa ukazała się *Droga*.

Trzeba było mieć na uwadze, że polska emigracja była dość liczna w Londynie (w czasie wojny miał tam siedzibę polski rząd emigracyjny).

Książka musiała zostać bardzo dobrze przyjęta, bo trzy lata później ukazało się drugie wydanie z odręczną dedykacją samego autora. Ale "brytyjskie" egzemplarze *Drogi* były już od dawna niedostępne. W sumie były trzy wydania Scepter-Veritas (1966, 1969 i 1981).

Pamiętam, jak modliliśmy się z chłopakami, zatrzymując się w kącie górskiej chaty, by czytać wcześniej skserowane wersety Ewangelii i punkty z *Drogi*. Stąd wziął się pomysł wydania jej w Polsce, kraju komunistycznym, w którym rzeczy niemożliwe stawały się możliwe dzięki kilku zabiegom.

W temacie tych wyjazdów pamiętam mały incydent, który mógł mieć konsekwencje. Kiedyś zatrzymaliśmy się na obiad w małym morawskim lesie na drodze prowadzącej na północ, do polskiej granicy. Podczas tego pikniku usłyszeliśmy dudnienie silnika, niewidocznej maszyny. Jeden z młodych mężczyzn postanowił zobaczyć co się dzieje, odkrył małe lotnisko do użytku rolniczego (do siewu, nawożenia, nawadniania) i zrobił kilka zdjęć. Gdy wyjechaliśmy z zagajnika czekał na nas radiowóz, dokładnie sprawdzono nasz pojazd a funkcjonariusz porozumiewał się z jakąś centralą. To właśnie wtedy, dzięki upomnieniu policjanta, poznałem znaczenie słowa *zakazan* (zabroniony). Jak tylko mogłem, mruknąłem do "fotografa", żeby schował swojego Nikona najlepiej jak potrafi i zrobiłem wszystko, żeby przekonać funkcjonariuszy, że jesteśmy nieprzytomnymi idiotami, którzy nie znaleźli żadnego miejsca

odpoczynku na drodze E7. Wszyscy musieliśmy pokazać dokumenty i wyjaśnić naszą planowaną wycieczkę: jeden z oficerów cierpliwie przekazywał wszystkie dane drogą radiową do bazy danych w jakimś centralnym biurze. Nie pasowała im polska tablica rejestracyjna samochodu (w innym formacie niż normalne tablice rejestracyjne). Wiedziałem, że lotniska są w krajach komunistycznych tajemnicą państwową (znak drogowy z przekreślonym aparatem fotograficznym oznaczał zakaz fotografowania). W szczególności to lotnisko nie pojawiło się na żadnej mapie, nie widziałem też żadnych znaków. Ale wiedziałem też, że w tym czasie Układ Warszawski przerzucał rakiety krótkiego zasięgu przez Morawy i Czechy. Ponadto doświadczyłem wrogości, z jaką władze czechosłowackie traktowały pojazdy osób udających się do

"zbuntowanej" Polski. Robiłem wszystko, by chłopcy nie zdawali sobie sprawy z nieprzyjemnej sytuacji, za którą czułem się odpowiedzialny: miałem około 45 lat, ale oni mieliby średnio po 20 lat. W końcu mogliśmy kontynuować podróż, ale nie czułem się swobodnie, dopóki nie przekroczyliśmy granicy i nie wjechaliśmy do Polski.

Wróćmy do książek. Książki mogły wydawać tylko kontrolowane przez państwo wydawnictwa. Państwowa firma odmówiłaby wydania książki religijnej, jaką jest *Droga*. Nie chciałem iść do sponsorowanego przez rząd *Paxu*, wydawnictwa "postępowych katolików".

Próbowałem zaproponować *Drogę* wydawnictwu *Znak*, instytucji bliskiej kardynałowi z Krakowa. Ale to było jak próba sprzedania miodu pszczelarzowi. W końcu mój guru Stomma poradził mi, by zwrócić się

do biskupa Herberta Bednorza z Katowic, stolicy Górnego Śląska, gdyż w tym przemysłowo-górnicyzm regionie zorganizowano bardzo sprawne wydawnictwo religijne. I tam poszedłem.

Bednorz, który cieszył się ogromnym prestiżem wśród górników, najpierw zapytał mnie "A co to jest Opus Dei?", choć musiał doskonale wiedzieć, czym jest Dzieło. Wysłuchał uważnie mojej odpowiedzi i, jakby dla uporządkowania myśli, powiedział do mnie z wielkim przejęciem: "A więc jesteś *exempti...*". Ta uwaga uświadomiła mi, że błędnie myślałem, że my, członkowie Opus Dei, nie jesteśmy zależni od biskupa, ale od nie-diecezjalnego przełożonego, na wzór zakonów. Zrobiłem więc coś, co w Polsce nie było zbyt częste: sprzeciwiłem się biskupowi. Powiedziałem mu konkretnie, że był on w tym czasie moim biskupem i że prałat Opus Dei był kompetentny

tylko w sprawach dotyczących Prałatury, ale nie w sprawach dotyczących biskupa. Dialog trwał dalej, a biskup powiedział do mnie, nie bez pewnej dozy drwiny: "Jakie są sprawy, w których nie byłbym kompetentny?" Chciałem dojść do sedna sprawy i powiedziałem mu: "Jest to wszystko, co w mojej walce ascetycznej i apostołstwie ma związek z duchowością Dzieła, np. jak staram się osiągnąć jakąś cnotę lub walczyć z jakąś wadą, jak staram się zbliżyć do Boga moją rodzinę lub moich przyjaciół, jak co wieczór robię rachunek sumienia...".

Po przerwie nie tylko mnie nie odesłał, ale powiedział: "w przyszłym tygodniu jadę do Rzymu i tym razem zobaczę Opus Dei... a potem porozmawiamy". Poprosił mnie o przekazanie danych jego sekretarce, co też uczyniłem.

Kilka tygodni później zadzwoniłem do niego, a on, nie pytając mnie, czy będę miał czas w danym dniu, powiedział, żebym przyszedł na lunch do jego rezydencji. Był to okres wielkiego napięcia politycznego. Niestety, nikt nie poinstruował mnie w sprawach tajnych: wszystkiego, co wiedziałem, nauczyłem się z powieści szpiegowskich Johna Le Carré. Nie chciałem kłopotów, więc pojechałem do Katowic (300 kilometrów od Warszawy), zaparkowałem najdalej jak mogłem, wskoczyłem do tramwaju, który podrzucił mnie w pobliże ulicy Francuskiej (rezydencja biskupia) i kontynuowałem spacer wokół bloku do skromnej siedziby biskupa Bednorza. Wiele lat później, gdy czytałem protokoły obserwujących mnie służb specjalnych, z radością odkryłem, że przy tej okazji nie wiedzieli, że jestem w Katowicach.

Uzgodniłem z moim redaktorem, że tego dnia nie będzie relacji "chyba, że będzie to konieczne". Przez cały czas nasłuchiwałem radia, aby dowiedzieć się, czy dzieje się coś szczególnego, co mogłoby zmusić mnie do powrotu do Warszawy.

Wchodząc do salonu domu, biskup Bednorz powitał mnie tak, jakbyśmy się znali całe życie, i przedstawił mnie... gronu pedagogicznemu (lub jego części) katowickiego seminarium, które mieściło się wówczas w Krakowie, i powiedział: "Dziś zaprosiłem pana Estarriola, aby opowiedział wam o Opus Dei, które właśnie odwiedziłem w Rzymie i które mi się spodobało". Zrobiłem, co mogłem. Pod koniec kawy mój obecnie biskupi przyjaciel powiedział do mnie niskim głosem: "A teraz idź do naszego wydawnictwa, gdzie czeka na ciebie dyrektor, pan Paduch, aby porozmawiać o książce".

Reszta to była bułka z masłem. Pan Euzebiusz Paduch z wydawnictwa "Księgarnia Świętego Jacka", miał już instrukcję - i ja też: dar papieru z Austrii.

Miałem pewne zastrzeżenia co do religijnego polskiego stylu wydawniczego. Pokazałem więc Paduchowi egzemplarz *Drogi* w innym języku, aby posłużył jako wzór dla polskiego wydania. Byłem absolutnie zdumiony, kiedy powiedział mi, że pomyśleli o nakładzie 20 000 egzemplarzy, kiedy na Zachodzie nakład 5 000 egzemplarzy dla tego typu książki byłby bardzo duży ("wyższe nakłady są tylko dla książek naszego papieża", powiedział, jakby się usprawiedliwiając). Ale ponieważ nie mieli wystarczająco dużo papieru, musiałem go sprowadzić z Austrii. Wyeksportowałem i chyba źle wypełniłem jakieś dokumenty, bo papier nie do końca trafił do Polski,

tam gdzie powinien. Polski wydawca miał podpisaną pełnoprawną umowę z hiszpańskim wydawcą, który posiadał prawa autorskie. Ponieważ była to sprawa, która w oczywisty sposób wchodziła w zakres kompetencji hiszpańsko-polskich stosunków handlowych, poprosiłem o pomoc Joana Badosę, który był delegatem handlowym Hiszpanii w Polsce (później został dyrektorem zarządzającym FENOSA). Uprzejmie kazał wezwać służby celne i zainteresowane ministerstwa, aż sprawa zostanie odblokowana. W urzędzie celnym podejrzewano, że rolki papieru posłużą antykomunistycznej działalności propagandowej i je zarekwirował w przekonaniu, że papier biblijny, będzie używany przez podziemie do zmniejszenia objętości swoich ulotek. Nawiasem mówiąc, podczas ogłaszania stanu wojny, kiedy podsłuchy były naszym chlebem powszednim, podobnie jak

podśłuchy telefoniczne, Badosa, wspaniały człowiek, powiedział do mnie: "Podnieś słuchawkę, a usłyszysz szum oddechu" (nawiasem mówiąc, znalazłem tę historię po latach w archiwum służb specjalnych). Udało się więc wydrukować *Drogę w Polsce*. Było to czwarte polskie wydanie, ale pierwsze wydrukowane w kraju. Wkrótce, gdy zamówiłem 50 egzemplarzy do wysłania do Rzymu, z których jeden miał być prezentem dla Jana Pawła II, nakład 20 000 egzemplarzy był już wyprzedany! Mieli bardzo sprawny system dystrybucji nietypowymi kanałami, na przykład wykorzystując bagażniki samochodów zakonnic, które mogły podróżować.

Przed upadkiem reżimu komunistycznego w Polsce niektóre dzieła św. Josemaríi były już publikowane w kraju. Dwa z nich zostały wydane w czasach

komunistycznych i zanim *Opus Dei* miało stabilną pracę w Polsce: dwa wydania *Drogi* i jedno wydanie *Różańca Świętego*. Ponadto za moich czasów ksiądz ze Śląska Antoni Kajzerek przetłumaczył *To Chrystus przechodzi*, a Maciek Stasiński przetłumaczył *Czym jest Opus Dei* Dominique Le Tourneau wydane na początku lat 90. Teraz, w 2019 roku, liczba wydanych na świecie książek św. Josemarii wynosi 10 milionów (dokładnie 9 496 496). Zaskakujące jest to, że wydania polskojęzyczne, z liczbą 298 195 egzemplarzy, osiągnęły piąte miejsce w światowym rankingu, po książkach w języku hiszpańskim (5 995 000), angielskim (932 000), portugalskim (597 000) i włoskim (588 000). W każdym razie więcej niż wydania niemieckie (219 tys.), francuskie (154 tys.), katalońskie (95 tys.), holenderskie (54 tys.), japońskie (45 tys.) i rosyjskie (47 tys.).

JAK OPUS DEI PRZYBYŁO DO POLSKI

Po kilku próbach i po zbadaniu przez polskie władze moich kwalifikacji dziennikarskich, mogłem po raz pierwszy pojechać do Polski w 1971 roku. Moje wyjazdy powtarzały się wraz z wydarzeniami, takimi jak wizyta amerykańskiego prezydenta Nixona, zjazd polskiej partii komunistycznej, wizyta ministra spraw zagranicznych Marcelino Oreja w Warszawie, pierwsza wizyta papieża w Polsce itd. **We wrześniu 1979 r.** monsignor Alvaro del Portillo zrobił nam niespodziankę, udając się bez zapowiedzi do Warszawy, Krakowa i Częstochowy. Podczas swojej wizyty w Wiedniu w następnym miesiącu mówił nam dość szczegółowo o tej podróży.

Aby zrozumieć to, co następuje, myślę, że muszę wprowadzić czytelnika, jakkolwiek krótko, w to, co jest obecnie prehistorią

przekształcenia instytutu świeckiego Opus Dei, który był nieodpowiednią figurą prawną, jaką posiadał od 1947 roku, w prałaturę personalną, która jest właściwą strukturą prawną, umożliwioną od 1965 roku przez Vaticanum II.

W czerwcu 1978 r. św. Paweł VI poprosił mons. del Portillo o przedstawienie odpowiedniej dokumentacji, aby wystąpić o przekształcenie w prałaturę. Ale papież zmarł półtora miesiąca później. Kardynał Wojtyła został wybrany papieżem w październiku, a już w listopadzie kardynał sekretarz stanu Villot poinformował Álvaro del Portillo, że Jan Paweł II uważa za "pilną potrzebę rozwiązania kwestii statusu prawnego Opus Dei". W lutym 1979 r. monsignor del Portillo przedstawił formalną prośbę, popartą przez kardynała Franza Königa z Wiednia oraz przez polskiego arcybiskupa

Andrzeja Marię Deskura,
przewodniczącego Papieskiej Komisji
ds. Środków Przekazu.

W tym, co poniżej, przytaczam
opracowanie Valentína Gómeza-
Iglesiasa:

"28 czerwca 1979 r. odbyło się
zwyczajne posiedzenie Kongregacji
ds. Biskupów, na którym jej
członkowie - kardynałowie i biskupi -
przystąpili, na podstawie otrzymanej
dokumentacji, do ogólnego zbadania
przedstawionej petycji, przy czym
wielu z nich formułowało pytania i
wątpliwości, wyrażało trudności,
prosiło o wyjaśnienia, przedstawiało
zastrzeżenia itp. Poinformowano del
Portillo o przebiegu spotkania i
wobec możliwości - choć odległej - że
członkowie Kongregacji ds.
Biskupów, przychyłając się do
konieczności rozwiązania
instytucjonalnego problemu Opus
Dei, mogą ostatecznie rozważyć

poszukiwanie konkretnego rozwiązania innego niż to, którego domaga się Opus Dei (...) tenże zdecydował się napisać bezpośrednio do papieża".

Gómez-Iglesias opowiada dalej, jak zareagował del Portillo: napisał list do Papieża, w którym powiedział mu, że "ośmielałam się pokornie błagać, aby, jeśli z jakiegoś powodu [Ojciec Święty] będzie uważał za stosowne zmodyfikować moją propozycję, określoną w dokumencie przedstawionym Kongregacji Biskupów 23 kwietnia 1979 r., aby wcześniej był uprzejmy wysłuchać mnie przed podjęciem jakichkolwiek decyzji" (Mons. Álvaro del Portillo y el itinerario jurídico del Opus Dei, opublikowana w t. 2 *Vir Fidelis multum laudabitur* pod redakcją Pablo Gefaella, EDUSC, Rzym 2014, str. 136-137). W lipcu kardynał Baggio (Prefekt Kongregacji) poprosił

go [don Alvaro] o dodatkową dokumentację.

Minęły 11 miesiące od wyboru kardynała Wojtyły na papieża. Było jasne, że del Portillo chciał osobiście poznać kraj, z którego pochodził papież, który już jako kardynał był związany z Dziełem w Rzymie: prowadził wykłady w CRIS (Centro Romano di Incontri Sacerdotali). Ale myślę, że jego wyjazd we wrześniu 1979 roku miał też charakter pielgrzymkowy. Zakładam, że podróżni zatrzymali się w hotelu Victoria, ponieważ odprawiali Mszę św. w dwóch kościołach położonych najbliżej tego hotelu (dziś Sofitel Victoria Warszawa, sprawdziłem w notatkach Javiera Cotelo): jeden z nich [kościół] był prowadzony przez wspólnotę salezjańską. Były to kościoły, które dobrze znałem, bo przy kilku poprzednich pobytach zatrzymywałem się w tym samym hotelu. Przełożony mówił po

hiszpańsku i znał Dzieło. Wspólnota używała do modlitwy polskiego tłumaczenia *Drogi* (prawdopodobnie egzemplarz londyńskiego wydania emigracyjnego). Ten sam przełożony pokazał też Don Alvaro egzemplarz *L'Osservatore Romano*, który zawierał wiadomości i komentarz na temat audiencji udzielonej przez Papieża grupie studentów uniwersytetu z Dzieła.

W sanktuarium częstochowskim on i jego towarzysze (Javier Echevarría, Joaquín Alonso i Javier Coteló) odnowili poświęcenie Dzieła Sercu Maryi, którego św. Josemaría dokonał po raz pierwszy w Loreto, gdy w 1951 r. prosił Matkę Bożą o przygotowanie dla nas bezpiecznej drogi, posługując się aktem strzelistym: *Cor Mariae dulcissimum, iter para tutum*. Wszyscy w Dziele odnawiamy tę konsekrację co roku 15 sierpnia, w uroczystość Wniebowzięcia.

W rozdziale 10 opisałem już tło tej pielgrzymki słowami Don Alvaro, gdy w październiku następnego roku udał się do Wiednia na spotkanie z kardynałem Königiem.

Z Częstochowy kontynuowali podróż do Krakowa. 7 września, po powrocie do stolicy, del Portillo, na znak uprzejmości i szacunku, choć wcześniej nie prosił o audiencję, chciał pozdrowić kardynała Stefana Wyszyńskiego, który przyjął ich z wielką radością. Było to zdumiewające, gdyż był on osobą powściągliwą. Prymas Polski chciał poznać powód podróży do kraju rządzonego przez komunistów, na co Don Alvaro odpowiedział, że przyjechał modlić się za Kościół i za papieża oraz złożyć Opus Dei u stóp Matki Bożej Częstochowskiej.

Kontynuuję tutaj cytowanie autorów pracy zbiorowej *Itinerario Jurídico*

del Opus Dei, aby opisać, co stało się potem:

„W październiku 1979 roku, podczas procesu przekształcania Opus Dei w prałaturę personalną, miało miejsce nieoczekiwane wydarzenie: dwa dokumenty z dossier (a konkretnie listy skierowane przez Don Alvaro del Portillo 23 kwietnia i 2 czerwca 1979 roku do prefekta Kongregacji ds. Biskupów) wpadły w ręce kogoś, kto przekazał je kilku biskupom i prasie w różnych krajach, przedstawiając je w sposób tendencyjny. Za pomocą wyboru lub streszczenia, w którym pewne zdania zostały wyizolowane, oderwane od kontekstu i ułożone według z góry założonej idei, a także za pomocą uderzających nagłówków w prasie, starali się wywołać wrażenie, że Opus Dei aspirowało do stania się podmiotem, który stronił od wszelkiego poddaństwa i kontroli. Zamierzonym rezultatem tego

manewru było niewątpliwie wzbudzenie podejrzeń niektórych Prałatów i niektórych części opinii publicznej, jakoby Opus Dei, stając się prałaturą personalną, dążyło do uzyskania niezależności od biskupów diecezjalnych, a tym samym utrudnienie procesu powołania Prałatury.

Opus Dei natychmiast zareagowało, potępiając fałszowanie faktów implikowane przez tę informację. Święta Kongregacja ds. Biskupów również ubolewa nad tym, co się stało.” (*Itinerario Jurídico del Opus Dei – Historia y defensa de un carisma*, de Amadeo de Fuenmayor, Valentín Gómez Iglesias, José Luis Illanes, EUNSA , Pamplona, 1989).

Kiedy w połowie 2005 r. przygotowywałem studium na temat prehistorii Opus Dei w Austrii, znalazłem w bibliotece wydziału teologicznego w Innsbrucku pięknie

wydaną książkę z protokołami z tego, co musiało być jednym z ostatnich spotkań (od 20 do 29 października 1981 r.) dotyczących reformy Kodeksu Prawa Kanonicznego. Znalazłem tam *animadversio* (odpowiedź) kardynała Königa z 24 października, świadczące o jego zaniepokojeniu wspomnianymi fałszerstwami. Tłumaczę ją z oryginału łacińskiego:

„Przede wszystkim musimy trzymać się wyłącznie tego, co jest naszą misją: analizować te normy prawa ogólnego, czyli Kodeksu Prawa Kanonicznego: i nie dopuszczam żadnego wpływu innych czynników. W odniesieniu do konkretnego przypadku, o którym wspomniano wczoraj w tej sali, uważam - jak powiedzieli inni - że niewłaściwe jest, abym poddawał swój osąd wpływowi pewnych anonimowych i fałszywych broszur, które otrzymałem.”

*(Acta et Documenta Pontificiae
Commissionis Codici Iuris Canonici
recognoscendo, Congregatio Plenaria
-Diebus 20-29 octobris 1981 habita,
Pontificium Consilium de Legum
Textibus Interpretandis, Typis
Polyglottis Vatiocanis, 1991, pags 414
i 415)*

Następnie, około 2005 roku, chciałem się dowiedzieć, kim dokładnie była druga osoba, która wraz z kardynałem Königiem poparła prośbę del Portillo skierowaną do papieża. Don Alvaro poznał przyszłego papieża Jana Pawła II, gdy ten był biskupem w Krakowie, w czasie Soboru Watykańskiego II, właśnie za pośrednictwem bp. Andrzeja Maria Deskura, w którego mieszkaniu w Palazzo San Carlo, wewnątrz Watykanu, zatrzymywał się kardynał Wojtyła, gdy podróżował do Rzymu. Pomagał Karolowi Wojtyłe w odnalezieniu się w świecie kurii watykańskiej.

Deskur pochodził z południowej Polski. Studiował prawo na podziemnym uniwersytecie w Krakowie (w czasie okupacji niemieckiej), a później teologię w seminarium duchownym w Krakowie, w odstępie roku od Karola Wojtyły. Później studiował także w Szwajcarii i Francji, w 1950 roku przyjął święcenia kapłańskie, a w 1952 roku rozpoczął pracę w Watykanie. Był ekspertem na Soborze Watykańskim II, gdzie miał kontakty z Julianem Herranzem (późniejszym kardynałem). Współpracował również z innymi księżmi z Dzieła, takimi jak Salvador Canals i Francesco Angelicchio.

Bardzo cenił ducha Dzieła i pisma św. Josemaríi, które często cytował. W 1966 r. został mianowany sekretarzem Papieskiej Komisji ds. Środków Społecznego Przekazu, w 1971 r. został konsekrowany na biskupa, a w 1973 r. został

przewodniczącym tej samej komisji. W czerwcu 1975 r. Deskur, składając kondolencje Don Alvaro, powiedział: "Dziś odprawiłem Mszę św. o wieczną chwałę dla niego [mowa o zmarłym 26 czerwca, założycielu Dzieła]. Mam nadzieję, że będę jednym z pierwszych biskupów postulujących jego beatyfikację. W 1979 roku rekomendował przekształcenie Opus Dei w prałaturę personalną.

W tym samym dniu, w którym Wojtyła został wybrany na papieża (16 października 1978 r.), Deskur doznał udaru mózgu i musiał być hospitalizowany, ale udało mu się powrócić do zdrowia, choć od tego czasu poruszał się na wózku inwalidzkim. W 1985 roku Jan Paweł II kreował go na kardynała. Zmarł w 2011 roku w wieku 87 lat. A podczas Światowych Dni Młodzieży w Krakowie w 2016 r., na które został zaproszony ks. prałat Javier

Echevarría, tenże modlił się przy jego grobie w krypcie Sanktuarium św. Jana Pawła II, znajdującej się w Krakowie.

W rozdziale 2 opisałem, jak św. Josemaria Escriva dużo modlił się za katolickich wiernych z Europy Wschodniej, którzy cierpieli pod komunistyczną opresją. Od 1955 roku odmawiał akt strzelisty: *Sancta Maria, Stella Orientis, filios tuos adiuva!* W szczególności modlił się nim podczas powstania węgierskiego w 1956 roku, a także podczas interwencji zbrojnej w Czechosłowacji. Przez wiele lat, ze względu na brak wolności religijnej, działalność Dzieła w tych krajach praktycznie nie istniała.

W **styczniu 1986** roku udało mi się porozmawiać z Alvaro del Portillo o sytuacji w Polsce podczas jego wizyty w Austrii. Opowiedzieliśmy mu kilka szczegółów o obozie wolontariackim,

który przygotowywaliśmy na lato w Polsce. W tym czasie zgłosiło się już ponad dwustu studentów z całej Europy, a wiedzieliśmy, że zainteresowanych jest jeszcze wielu.

Jednak dopiero w **1986** roku Opus Dei zaczęło być obecne w Europie Środkowej i Wschodniej. Tego lata członkowie Opus Dei i studenci uczęszczający do ośrodków formacyjnych w krajach europejskich wyjechali pomagać w budowie kościołów i pracach społecznych w Polsce. Później to samo zrobili w Czechosłowacji i na Węgrzech. Dzięki udokumentowanym badaniom mojego rzymskiego przyjaciela, historyka i profesora Carlo Pioppi, dowiedziałem się, że w latach 1986-1993 łącznie 2780 studentów uniwersytetów z Europy i Ameryki Północnej wyjechało do tych trzech krajów, aby pracować nad 58 projektami. Znałem tylko dane

związane z wyprawami z Austrii. Ale Pioppi się też wyłożył, bo nie zauważył, że w Rumunii byli też na work campie z włoskimi studentami. Dzięki jego opracowaniu udało mi się poskładać wiele rzeczy związanych z początkami Opus Dei w Polsce, które mogę teraz zrelacjonować w pierwszej osobie.

Pisałem regularnie do Don Alvaro (tak jak to robiłem wcześniej do św. Josemarii) opowiadając mu o moich wędrówkach na Wschodzie, a szczególnie prosząc go, by Opus Dei mogło wkrótce rozpocząć swoją pracę apostolską w Polsce, Chorwacji i na Węgrzech.

Po wyborze papieża liczba polskich pielgrzymów do Rzymu ogromnie wzrosła. Nigdy nie wiedziałem dokładnie jak, ale wielu z nich wracało z polskojęzycznymi kartkami informacyjnymi o założycielu Opus Dei, w których

znajdowała się kartka na darmową prenumeratę pocztową. Rada Generalna Dzieła przesłała mi dwa tuziny adresów na wypadek, gdybym chciał się z tymi ludźmi skontaktować. W **1987** roku zorganizowałem wraz z jednym z sekretarzy kardynała Glempa (Tadeuszem Pikusem, do niedawna biskupem drohiczyńskim), Mszę św. w rocznicę śmierci, za duszę Josemaríi Escrivá.

Stopniowo rosła liczba pisemnych próśb (kilkaset) o więcej informacji o Escrivie i jego duchowości. Wtedy skontaktował się ze mną student inżynierii Robert Malicki, który wraz ze swoją wspólnotą parafialną odwiedził Santa María de la Paz, kościół Prałatury, w którym został pochowany założyciel. Chciał zostać członkiem Dzieła. Na razie zaproponowałem mu zorganizowanie z jego pomocą na następny rok (**1988**) kolejnej Mszy

św. w parafii uniwersyteckiej św.
Anny.

Zaprosiłem osoby, które znałem, a zaproszenia rozesłaliśmy pocztą do ludzi z Warszawy i okolic. Robert i jego żona Iwona, która była wówczas jego dziewczyną, zajęli się organizacją w parafii akademickiej św. Anny. Nie wiedziałem czego się spodziewać, byłem w drzwiach kościoła piętnaście minut wcześniej, aby przywitać się ze znajomymi. Cały czas przybywało ludzi. Goście witali się ze mną, wręczali mi koperty z listami, kwiatami, adresami... W końcu musiałam wejść do środka, bo zaraz miała się zacząć Msza. Jak najdyskretniej próbowałem policzyć liczbę osób uczestniczących w spotkaniu: było ponad 250 mężczyzn i kobiet z najróżniejszych środowisk. Pikus studiował teologię na Uniwersytecie Nawarry i wygłosił homilię, która była czymś w rodzaju nieformalnej prezentacji Opus Dei w

Polsce. Z inicjatywy Roberta i jego dziewczyny wielu obecnych podpisało list skierowany do prałata Alvaro del Portillo z prośbą o rozpoczęcie stabilnej pracy Opus Dei w Polsce. Na koniec, ku mojemu zaskoczeniu, Malicki zaprosił chętnych do zejścia do krypty, abym mógł odpowiedzieć na ich pytania. Nie wiem, jak długo to trwało, ale wiem, że nie było mowy o zakończeniu.

Podarowane mi kwiaty zostawiłam w kościele u stóp Matki Bożej, a wieczorem, po powrocie do domu, spojrzałam spokojnie na stos papierów i listów, które chowałam do kieszeni... i podziękowałam Panu. Od tego czasu minęło sporo czasu, ale dobrze pamiętam dwa listy: jeden od młodej dziewczyny, a drugi od filologa Jana Jarco. Obaj poprosili o natychmiastowe przyjęcie do Dzieła. Jan był później jednym z pierwszych polskich supernumerariuszy i stał się

doskonałym tłumaczem dzieł świętego Josemaríi.

Jarco, zmarły w 2012 r. ojciec sześciorga dzieci, był dziennikarzem, publicystą, popularyzatorem myśli św. Jana Pawła II, tłumaczem dzieł założyciela oraz siedmiu tomów medytacji na każdy dzień *Rozmowy z Bogiem* hiszpańskiego autora Francisco Fernándeza Carvajala, a także specjalistą od Kościoła katolickiego obrządku wschodniego. Przede wszystkim był człowiekiem wiary, w którym błyszczały cnoty pracowitości, pokory i wytrwałości oraz umiłowanie ekumenizmu.

Pod koniec lat 80. wiele prac poświęcił zagadnieniom związanym z tysiącleciem chrztu Rusi. W czasach, gdy w Polsce nie było to zbyt popularne, zajmował się Kościołem obrządku wschodniego, a o pojednaniu polsko-ukraińskim rozmawiał w 1985 r. z

przebywającym w Rzymie (1985) greckokatolickim arcybiskupem większym Lwowa Myrosławem Lubacziwskim. Rosyjska Akademia Nauk zaprosiła go do Moskwy, by opowiedział o "Chrzcie Rusi" i "św. Andrzeju, apostołe Rosji".

Bardzo ciekawe było dla mnie to, że wcześniej był aktywnym współpracownikiem wydawnictwa katolickiej organizacji PAX, która była wówczas promowana przez komunistów i nie uznawana przez hierarchię katolicką. Jednak wybór kardynała Karola Wojtyły na papieża w 1978 roku zapoczątkował nowy etap w jego życiu. Jego pasją, której poświęcił się całkowicie, było propagowanie nauczania i wiedzy o działalności Ojca Świętego. Działał na zjeździe Solidarności w Gdańsku, był aktywistą wydawnictw podziemnych, pisał w prasie niezależnej.

Gdy pierwszy raz byłem w Warszawie, dawny zamek królewski był tylko kilkoma skrawkami muru. Kiedy w 1971 roku rozpoczęto odbudowę, zdałem sobie sprawę z narodowych emocji związanych z tą dawną rezydencją królów polskich. Nie wyobrażałem sobie wtedy, że jednym z pierwszych współpracowników Opus Dei w Polsce będzie Jerzy Garus, szef zespołu badań archeologicznych w Pałacu Królewskim. Jerzy poznał Opus Dei w Meksyku, kiedy pracował nad doktoratem, i napisał bezpośrednio do prałata Alvaro del Portillo z prośbą o rozpoczęcie Dzieła w Polsce. W latach 80. był członkiem Zarządu Regionu Centralnego "Solidarność" na Mazowszu, był uznanym naukowcem. Był jednym z tych, którzy uczestniczyli w pierwszym spotkaniu formacyjnym Opus Dei w Warszawie w listopadzie 1989 r. Zmarł w 2014 r.

ÁLVARO DEL PORTILLO PRZYGOTOWUJE TEREN

Po kilku spotkaniach "ściśłego kierownictwa" Solidarności z ministrem spraw wewnętrznych gen. Czesławem Kiszczakiem w podwarszawskiej Magdalence pod koniec 1988 r. stolarze zaczęli ukradkiem budować gigantyczny stół, przy którym miał się odbyć Okrągły Stół (czyli negocjacje Solidarności z władzą komunistyczną).

Już wtedy byłem przekonany, że dialog społeczny zadziała. Pamiętam, że jednym z tematów do omówienia przy tzw. okrągłym stole było uregulowanie nowego typu stosunków między państwem a Stolicą Apostolską. Mój entuzjazm skłonił mnie do zagłębienia się w tę sprawę, szczególnie zastanawiając się nad potrzebą zakotwiczenia prałatury personalnej Opus Dei w

artykułach przyszłego porozumienia. Rozmawiałem z wieloma specjalistami, także z rządu, studiowałem projekty, zlecałem ich tłumaczenie i wysyłałem do Rzymu. Problem polegał na tym, że komuniści byli gotowi uznać osobowość prawną tylko dla ograniczonej listy instytucji kościelnych. Kościół natomiast chciał, aby państwo uznało wszystkie instytucje posiadające osobowość prawną w ramach Kościoła, co rozwiązałoby problem uznania Opus Dei przez państwo. Pamiętam, że wiele lat później węgierski kardynał Péter Erdö dziękował mi za przesłanie mu polskiej dokumentacji, o której zupełnie zapomniałem, a która była mu (kardynałowi prymasowi i kanoniście) bardzo przydatna w węgierskiej transformacji.

Wielu wiernych Dzieła przebywało w Polsce z powodów zawodowych.

Byłem jednym z wielu, może bardziej intensywnie niż inni.

Na prośbę Álvaro del Portillo, na początku **marca 1989** roku, obecny prałat Fernando Ocariz odbył sześciodniową podróż, aby zbadać *in situ* możliwości rozpoczęcia działalności apostolskiej Prałatury. Przyjechał sam, ale w Polsce towarzyszył mu ówczesny diakon Adam Auguściak (który później jako kapłan odbudował i wybudował dwa kościoły poświęcone św. Josemaríi w zachodniej Polsce). Wizyta ta miała miejsce właśnie w czasie negocjacji Okrągłego Stołu (od 6 lutego do 4 kwietnia). Po powrocie do Rzymu Ocariz polecił Don Alvaro przyjęcie oferty biskupa szczecińskiego Kazimierza Majdańskiego, który był gotów zakwaterować w seminarium dwóch księży Dzieła. Fakt, że byli oni duchownymi, zaproszonych przez polskiego biskupa, również znacznie ułatwiłby władzom przyznanie im

wizy na pobyt. Później badano by
możliwość przybycia wiernych
świeckich.

26 czerwca 1989 r. celebrowano
Mszę św. za duszę prałata Escrivy,
również w kościele św. Anny w
Warszawie, w której uczestniczyło
około 350 osób. W rocznicę śmierci
Josemaríi Escrivá artykuł o Opus Dei
ukazał się w tygodniku archidiecezji
warszawskiej.

Pioppi odnalazł w archiwum
Prałatury memorandum, które
wysłałem w **lipcu 1989** r. do prałata
del Portillo, w którym z nieukrywaną
niecierpliwością napisałem: "Jeśli
chodzi o sytuację polityczną, kraj
znajduje się w fazie przemian, a więc
niepewności co do przyszłości.
Obecnie jednak istnieje
wystarczająca swoboda, aby
prowadzić normalne apostołstwo.
Nie zaobserwowałem specjalnej
wrogości władz wobec Dzieła:

aktualnymi priorytetami politycznymi reżimu nie są instytucje katolickie, lecz pozycja polityczna. Wszyscy Polacy i cudzoziemcy mogą swobodnie wjeżdżać i wyjeżdżać z kraju".

Po latach, gdy miałem dostęp do różnych akt z archiwów polskich służb specjalnych, byłem dość zaskoczony. Konfident, który miał kryptonim "profeta" (prorok), informował wydział kontrwywiadu MSW o spotkaniach biskupa del Portillo i don Javiera Echevarría z Ojcem Świętym w ramach przygotowań do przybycia Opus Dei do Polski. Te doniesienia od "proroka" były częścią specjalnego serwisu, który miał bardzo ograniczoną dystrybucję. W setkach dokumentów związanych z tą sprawą znajdowała się lista adresatów, a byli nimi wszyscy, którzy rządili w Polsce, począwszy od generała Jaruzelskiego, a

skończywszy na ministrze spraw wewnętrznych Czesławie Kiszczaku, tym samym, który miał tyle problemów z agentami swojego resortu, którzy dokonali zamachu na księdza Popiełuskę.

Z irytacją odkryłem, że polskie służby kontrwywiadowcze tak dokładnie śledziły prywatne audiencje papieża. Nie chciałem dalej badać sprawy ani dowiadywać się, kim był tak zwany prorok: zrobią to inni. Dla mnie te dokumenty po prostu potwierdzają, że dla polskich władz Opus Dei było po prostu tym, czym jest: kolejną instytucją Kościoła katolickiego, wierną papieżowi.

Myślę, że moim obowiązkiem jest tutaj, przed zakończeniem tego rozdziału, odnotować dwa bardzo osobiste spostrzeżenia.

Pierwsza obserwacja. W młodości poznałem prześladowania Kościoła katolickiego przez komunistów w

czasie wojny domowej w Hiszpanii. Świadczą o tym setki męczenników, którzy do dziś są kanonizowani. Jednak rzeczywistość otworzyła mi oczy na to, że "imperium zła", o którym mówił Ronald Reagan, mówiąc o Związku Radzieckim, przejawiało się w bardzo różnych scenariuszach, takich jak nazistowskie obozy koncentracyjne w Mauthausen i Auschwitz, czy też nacjonalistyczne ludobójstwa Ormian w Turcji lub Bośniaków w Srebrenicy i wiele innych, z którymi z biegiem lat byłem konfrontowany. Ci, którzy mnie dobrze znają, wiedzą, że często zabieram moich hiszpańskich gości do kamieniołomu Mauthausen, aby zobaczyli, co gestapo zrobiło z 7 tysiącami biednych żołnierzy armii republikańskiej, którzy w 1939 roku uciekli do Francji i trafili do komory gazowej...

Druga obserwacja. Przy kilku okazjach chciałem zdementować pewne oszczercze twierdzenia wobec Opus Dei. W takich przypadkach stosowałem metodę podobną do tej, którą stosowałem w życiu zawodowym: szukać źródeł, aby odkryć źródło zła... gdy takie istniało. To, co robiłem wtedy, kiedy czułem, że jest to konieczne, to kopanie aż do odkrycia pochodzenia danej wiadomości. Było dla mnie jasne, że tak niemoralny system jak komunizm, który twierdził, że religia jest opium dla ludu, nie miałaby żadnych skrupułów, by wymyślać fałszywe informacje w celu zniszczenia religii i instytucji Kościoła katolickiego. Dlatego chciałem się dowiedzieć, czy krytyka Opus Dei pochodzi ze źródeł komunistycznych, z tych komunistycznych "klinik plotek". Zrobiłem to kilkakrotnie, za każdym razem poświęcając na to sporo czasu. Wspomnę tylko o dwóch.

Raz była to gazeta *Die Welt*, która w grudniu 1984 roku poprosiła mnie o komentarz na temat Opus Dei w związku z oświadczeniami księcia z dynastii burbońskiej, że Opus Dei finansuje swoją działalność poprzez handel bronią i inne rzeczy.

Pojechałem ekspresowo do Kolonii, aby zrobić badania w swoim stylu, praca trwała kilka dni. Rezultatem była długa, licząca 22 800 znaków analiza opublikowana w *Die Welt* 14 grudnia 1984 roku pod tytułem *Was ist mit dem Opus Dei in Deutschland los* ("Co się dzieje z Opus Dei w Niemczech?"), dzięki której, jak sądzę, odsłoniłem wszystkie lub prawie wszystkie źródła tego bełkotu. Żaden z nich nie pochodził z komunistycznych środowisk. Co najwyżej były to "przeróbki" artykułów publikowanych na Zachodzie z innych źródeł, w tym wielu klerykalnych.

Podobne doświadczenie miałem w styczniu 2006 roku, kiedy Adam Michnik, ówczesny redaktor *Gazety Wyborczej* w Warszawie, chciał, abym wyjaśnił jego czytelnikom kulisy powstania polskiego gabinetu rządowego, w którym rzekomo znalazło się 16 członków Opus Dei. Zrobiłem to samo, co w 1984 roku: spędziłem cztery dni w Warszawie, pracowałem jak zwykle i w końcu gazeta opublikowała moją, na 32 000 znaków analizę 20 stycznia 2006 roku pod tytułem *Opus Dei jest dla wszystkich*. W tym artykule byłem w stanie spuścić powietrze z balonu o rzekomym "przejęciu" rządu przez Opus Dei w Polsce. „Balonu” który był na okładce polskiego wydania Newsweeka. Źródła były łatwe do wykrycia: wystarczyło czasem, że ktoś kiedyś grał w piłkę nożną w drużynie rezydencji [ośrodka] Opus Dei, by na tej podstawie zbudować mit o przejęciu władzy.

Te i podobne doświadczenia doprowadziły mnie wielokrotnie do wniosku, że źródła ataków na Opus Dei nie pochodziły właśnie od zewnętrznych wrogów Kościoła, takich jak komuniści. Często krytyka i ataki na Opus Dei były powtórzeniami z innych źródeł, ale przy innych okazjach były to oryginalne źródła pochodzące z kręgów kościelnych oraz od osób lub grup, które uważały się za skrzywdzone w jakiś sposób przez Dzieło. Niejednokrotnie urzędnicy władzy radzieckiej zbywali moje protesty, mówiąc mi, że nie zrobili nic innego, jak tylko powtórzyli krytykę, która była już publikowana w kręgach kościelnych na Zachodzie. Słyszając te odpowiedzi przypomniał mi się słowa świętego papieża Pawła VI, kiedy 29 czerwca 1972 roku wykrył, że "przez jakąś szczelinę dym szatana dostał się do świątyni Boga". A teraz, gdy piszę te linijki, przypomina mi się kilka odniesień

papieża Franciszka do szatańskiego braku jedności w Kościele, jak na przykład zdanie, które wypowiedział we wrześniu 2016 roku w obecności stu biskupów z terenów misyjnych: "podziały są bronią, którą diabeł ma najbardziej pod ręką, aby zniszczyć Kościół od wewnątrz". Ma dwie bronie, ale główną jest podział: drugą są pieniądze. Diabeł wchodzi przez szczeliny i niszczy językiem, plotką, która dzieli, i nawykiem plotkowania, który jest przejawem *terrorizmu*".

Wracam do mojej relacji z przybycia Opus Dei do Polski. Po czymś, co nazwałbym *fact finding mission* (misją rozpoznawczą) Monsignora Ocárizo, projekt szczeciński był studiowany w siedzibie Prałatury.

Według Pioppi pozytywna decyzja w sprawie projektu szczecińskiego zapadła w połowie **lata 1989** roku: w sierpniu nastąpiła wymiana

telegramów między prałatem del Portillo a biskupem Majdańskim w celu potwierdzenia szczegółów. Stefan Moszoro, jeden z dwóch pierwszych księży, którzy zainicjowali oficjalną pracę Dzieła w Polsce, mówi mi teraz: "O tym, że jadę do Polski dowiedziałem się w maju 1989 roku...". Zazwyczaj Opus Dei wnosi do Kościoła lokalnego i do kraju, w którym ma rozpocząć swoją działalność, pracę i prywatną inicjatywę swoich wiernych, z których zdecydowana większość to ludzie świeccy. Ale ze względu na ograniczenia ówczesnego komunistycznego ustawodawstwa, uzyskanie przez fachowców z zagranicy pozwolenia na pracę bez dalszych ceregieli nie miało być łatwe. To był powód, dla którego ówczesny prałat Alvaro del Portillo postanowił wysłać do Polski początkowo tylko księży. Zazwyczaj Opus Dei rozpoczyna pracę w danym kraju ze świeckimi i księżmi. Bez

ludzi świeckich Opus Dei nie byłoby w stanie otworzyć żadnych ośrodków w kraju. Na szczęście wszystko zmieniło się wraz z nowym polskim prawem o stowarzyszeniach z kwietnia 1989 roku. Rzeczywiście, w kwietniu 1990 roku del Portillo zdołał utworzyć oficjalny ośrodek ze świeckimi i księżmi w mieszkaniu przy ulicy Smolnej 12. Kiedy Moszoro pokazał mi dekret (*...presentibus his litteris erigimus atque erecta declaramus Delegationem directe a Nobis dependentem Polonicam...*), trochę się podekscytowałem

2 listopada 1989 roku księża Stefan Moszoro i Rafael Mora Martín wyjechali ze mną z Wiednia. Pojechaliśmy do Szczecina, przejeżdżając przez Katowice, Kraków, Częstochowę i Warszawę, odwiedzając we wszystkich tych miejscach moich przyjaciół i znajomych. W Warszawie byliśmy 4-5 listopada; Moszoro dał pierwszy

krąg studyjny dla współpracowników, w którym uczestniczyli Robert Malicki, Waldek Dobrzyński, bracia Krzysztof i Włodek Dobrowolscy oraz wspomniany Jerzy Garus. Następnego dnia odbyło się spotkanie z dwudziestoma osobami w domu Marka Kośmickiego, dziś wybitnego kardiologa. Ja zostałem w Warszawie, a oni ostatecznie dotarli do swojego tymczasowego miejsca przeznaczenia w Szczecinie **8 listopada 1989** roku. Większość z tej grupy bardzo szybko wstąpiła do Dzieła, jedni jako numerariusze, inni jako supernumerariusze, jeszcze inni zostali mianowani współpracownikami..

W maju 1990 r. Moszoro i Mora zostali mianowani odpowiednio wikariuszem i wikariuszem-księdzem sekretarzem nowonarodzonej delegatury. Wkrótce pojawili się inni

numerariusze, w większości o polskich korzeniach i z wielu różnych krajów: Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Niemiec, Argentyny, Brazylii i Stanów Zjednoczonych. Czasopismo *Romana* w numerach 11 (1990) i 12 (1991) informowało o pozostałych nominacjach. Na początku roku akademickiego przybyli Juan Luis O'Dogherty, Nicolás Ramírez, José Grau i Andrzej Sygel: wszyscy zostali mianowani członkami rady delegacji polskiej. Miesiąc później (21 listopada) przyszła nominacja Cristiny de Salas Murillo, Michèle de Haz Bardinet i Herminii dos Santos Rocha. Kolejne wzmocnienia przyszły w następnych latach. Innymi słowy, pod koniec 1990 roku Opus Dei miało już do dyspozycji w Polsce księży i świeckich, zarówno mężczyzn, jak i kobiety.

Ważną pomocą w zespole tych, którzy przyszli w pierwszej godzinie,

był mój kolega José Grau Navarro, dla mnie "Pepe", bo spędziliśmy razem długi czas w Wiedniu. Pochodził z Alicante, z wykształcenia był fizykiem, z hobby humanistą, a z zawodu dziennikarzem i pisarzem. Pracował dla *ABC* i aktywnie uczestniczył w "lądowaniu" Dzieła w Polsce do 1992 roku, kiedy to wrócił do redakcji swojej gazety w Madrycie. Pepe ma ogromny talent do nauki języków: nauczył się niemieckiego bardzo szybko i systematycznie, tzn. poprzez studiowanie deklinacji i koniugacji, czyli metodą, którą niektórzy z nas, Hiszpanów, pominęli (z odpowiednimi negatywnymi konsekwencjami). Następnie zrobił to samo w Polsce, również z sukcesem. Wiem, że przed powrotem do Madrytu udał się jako specjalny wysłannik na Litwę i nie zdziwiłbym się, gdyby zaczął zgłębiać tajemnicę bałtyckiej rodziny językowej.

Pierwsze kontakty kościelne w listopadzie 1989 r. miały miejsce z Tadeuszem Pieronkiem w jego domu na Wawelu, z ówczesnym kanclerzem diecezji katowickiej Wiktorem Skworcem oraz z ówczesnym wicerektorem warszawskiego seminarium duchownego Tadeuszem Pikusem. Kiedy wszyscy trzej zostali później mianowani biskupami, nadal doceniali pracę Opus Dei w Kościele lokalnym. To samo można powiedzieć o biskupie lubelskim Józefie Życińskim, znanym z silnej osobowości i niezależności intelektualnej, o którym później mówiono, że wpadł "w szpony Opus Dei" przez to, że w wielu artykułach z wielką głębią i elokwencją przekazywał istotę ducha Dzieła, jego świeckość, otwarcie na intelektualizm, docenienie wolności jednostki.

Do tego czasu nigdy nie poznałem Stefana Moszoro-Dąbrowskiego. W 1989 roku, kiedy przyjechał do Polski, miał 32 lata. Był jednym z synów polskiego małżeństwa, które w jakiś sposób odzwierciedlało historyczne realia tygla narodów, jakim był historyczny region Galicji:

Jego przodkowie ze strony ojca byli z pochodzenia Ormianami. Ormiańska eparchia (diecezja) Rosji, Mołdawii i Wołoszczyzny sięga XIV wieku, a w XVII wieku została zjednoczona z Rzymem. Jego ojciec urodził się na zachodniej Ukrainie, w mieście, które kolejno wchodziło w skład monarchii polsko-litewskiej (od 1569 r.), cesarstwa austriackiego (od 1772 r.) i austro-węgierskiego (od 1867 r.), Polski (1920 r.), ZSRR (1946 r.) i Ukrainy (1991 r.). W skład rodziny wchodzi dwóch znanych XIX-wiecznych kościelnych: ormiański ksiądz katolicki Samuel Moszoro oraz arcybiskup obrządku

ormiańskiego Izaak Mikołaj
Isakowicz.

Ojciec studiował inżynierię we
Lwowie, w 1938 roku rozpoczął
służbę wojskową, w 1939 roku udało
mu się przedostać z oddziałami,
które uciekły do Rumunii. Potem był
z wojskiem polskim we Francji, a po
upadku Francji wyjechał do
Londynu.

Jego matka, Ludmiła Dąbrowska,
urodzona we Lwowie, zdołała uciec
przed sowiecką policją NKWD do
Krakowa. Tam współpracowała z
Armią Krajową, została aresztowana
i była przetrzymywana do końca
wojny w obozie koncentracyjnym w
Auschwitz. Po wojnie wyemigrowała
do Londynu, gdzie w 1947 roku
poznała swojego męża.

Oboje zdecydowali się na emigrację
do Argentyny. Osiedlili się w Rosario,
gdzie urodziła się ich czwórka dzieci.
Tam poznali Opus Dei i oboje zostali

supernumerariuszami. Najmłodszy syn, Stefan, studiował inżynierię elektroniczną w Argentynie i tam, w ośrodku akademickim *El Litoral*, poprosił o przyjęcie do Opus Dei w 1972 roku. Miał okazję osobiście poznać św. Josemarię, gdy ten w czerwcu 1974 r. odwiedził Argentynę. Po ukończeniu studiów inżynierskich przeniósł się do Rzymu, aby studiować teologię. Tam miał okazję do częstych spotkań z Alvaro del Portillo. W 1982 roku przyjął święcenia kapłańskie z rąk św. Jana Pawła II. Pierwsze posługi duszpasterskie pełnił w Tucumán, gdzie był kapelanem ośrodka *El Cebil*, aż do przyjazdu do Polski.

Wiem, że jego rodzice starali się, aby ich dzieci wyrosły na dobrych Argentyńczyków, ale bez zatracenia kulturowego i narodowego charakteru kraju, z którego pochodzą. Zrozumiałem to, gdy tylko wjechaliśmy do Polski. W Krakowie

pokazałem mu, co to jest dawna twierdza i rezydencja królewska, znana pod ogólną nazwą Wawel, a on z podziwem skomentował: *ach! to jest ten Wawel... taki mały?*. Mówił poprawnie i płynnie po polsku. Co mnie rozbawiło, to fakt, że po raz pierwszy usłyszałem, jak głosił kazanie po polsku. Polacy mają tendencję do mówienia nieco wyższym tonem oktawaowym niż ich sąsiedzi, natomiast Argentyńczycy mówią znanym im łagodnym, miękkim tonem La Platy. To, wraz ze zwykłą retoryką, którą Stefan nabył jako świecki zawodowiec, było nie do powtórzenia. Był pierwszym wikariuszem regionalnym Opus Dei w Polsce przez dziesięć lat, od 1999 roku, był kierownikiem duchowym, a od 2013 roku ponownie jest wikariuszem.

9 kwietnia 1990 r. Prałat del Portillo dokonał kanonicznego erygowania Delegatury Opus Dei w Polsce.

Choć nadal jeździłem do Polski, środek ciężkości mojej aktywności zawodowej przesunął się nieco gwałtownie na Bałkany. Pamiętam jednak, że nowo powstała katolicka agencja prasowa KAI (Katolicka Agencja Informacyjna) zaprosiła mnie do poprowadzenia kursu dziennikarskiego dla młodych redaktorów nowych mediów. Pamiętam też długi wywiad w Wiedniu dla jednej z polskich telewizji. I coś podobnego wydarzyło się w mieście Toruń.

Bardzo szybko pierwsze ośrodki Dzieła zostały otwarte w Warszawie. W 1991 roku Prałat del Portillo był w Polsce dwukrotnie: z czterodniową wizytą duszpasterską w **kwietniu 1991** roku oraz z kolejną trzydniową wizytą z okazji Światowych Dni Młodzieży (ŚDM) w **sierpniu 1991** roku w Częstochowie.

Patrząc wstecz na mój program podróży w 1991 roku i ponownie czytając moje relacje z tamtego czasu, przypominam sobie teraz, jak bardzo byłem wtedy zmęczony, do tego stopnia, że musiałem wyjechać do Irlandii na trzy tygodnie, aby się zregenerować... Przed sierpniowymi ŚDM byłem świadkiem w Budapeszcie "requiem" dla Układu Warszawskiego w lutym ("Nie wiem, jak uda nam się dać pracę generałom" - powiedział mi rzecznik czechosłowackiego MSZ); w Jugosławii, dokąd musiałem udać się dziesięć razy w tym samym roku, wrzała niebezpieczna wojna domowa; Ukraina uczyła się niepodległości i musiałem tam pojechać, by przekonać się, że zamierzają oddać Rosji strategiczne rakiety na Krymie; Albania była w chaosie; pojechałem do Rumunii, by przeprowadzić wywiad z politykiem i synem hiszpanki (Petre Roman), który został mianowany szefem

rządu; w lipcu spędziłem prawie godzinę na rozmowie o Polsce w telewizji *Antena 3*.

Ale ŚDM miały dla mnie tym razem podwójne znaczenie. Z jednej strony była to pierwsza oficjalna wizyta polskiego papieża w demokratycznej Polsce, która wyłoniła się z wynegocjowanych dwa lata wcześniej wyborów. Po drugie, była to druga wizyta prałata del Portillo w nowej delegaturze Opus Dei w Polsce. Innymi słowy, było to święto mojej rodziny.

W osiemnastu językach papież pozdrowił milion młodych ludzi obecnych na ŚDM na jasnogórskiej esplanadzie, mówiąc im, że przyszła zjednoczona Europa "musi wrócić do swoich chrześcijańskich korzeni". To była wigilia głównego dnia ŚDM, a on właśnie przyjechał do Częstochowy ze swoich rodzinnych Wadowic. Przypomniiał sobie, że niektórzy z

jego współuczniów byli Żydami i że napisał list do jednego z nich, w którym napisał, że "wszystkie narody powinny się łączyć w bólu Hebrajczyków, którzy należą do narodu, który najbardziej cierpiał". Święty Jan Paweł II dodał: "Powinni o tym pamiętać ci, którzy mieszkają w pobliżu Auschwitz", położonego około pięćdziesięciu kilometrów od Krakowa.

Święto następnego dnia poświęcone było młodym pielgrzymom z narodów i państw, które odzyskały wolność. Na częstochowskiej esplanadzie było półtora miliona młodych ludzi, z czego prawie 100 tysięcy pochodziło z byłych republik radzieckich. Papież podkreślił wówczas rolę, jaką młodzież posttotalitarnego Wschodu może odegrać we współczesnej reewangelizacji i dał do zrozumienia, że Kościół katolicki pokłada w niej swoje nadzieje. "Nadszedł wasz czas"

- powiedział setkom tysięcy Polaków, Rosjan, Ukraińców, Czechów, Słowaków, Rumunów, Bułgarów, Litwinów i innych młodych ludzi ze Wschodu, którym przyznał, że "chrześcijańskie świadectwo często okupione jest ceną prześladowań i więzienia".

W przeddzień głównego wydarzenia ŚDM Don Alvaro odprawił Mszę św. dla uczestników hiszpańskojęzycznych, w której wzięło udział około 3000 młodych ludzi. Wiedział, że sporo uczestników pochodzi ze środowisk duszpasterskich w różnych krajach, gdzie były ośrodki Dzieła: "Nie bójcie się podjąć tej wspaniałej przygody bycia drugim Chrystusem" - powiedział im. Od niego chciałbym tu przytoczyć kilka przestroóg, które przekazał pierwszym członkom Dzieła w Polsce: "Jest dezorientacja, a ludzie nie są przyzwyczajeni do pracy. Sam Papież, mówiąc o cnotach

ludzkich, zauważył kiedyś, że w jego kraju brakuje pracowitości... Trzeba więc nauczyć ich pracować, i to pracować dobrze: to jest właściwe duchowi Opus Dei. Tutaj macie wspaniałe pole: że ludzie uczą się dobrze pracować, ofiarowywać swoją pracę Bogu i brać odpowiedzialność".

Uroczystość częstochowska miała miejsce 15 sierpnia 1991 r., w dniu Wniebowzięcia; teraz czytając *La Vanguardia* z dnia następnego, uświadomiłem sobie, że autorem kroniki częstochowskiej był mój współpracownik Maciej Stasiński, podobnie jak następnej.

Prawdopodobnie jechałem już samochodem do Esztergom, gdzie Jan Paweł II miał kontynuować swoją podróż.

W **październiku 1993** roku, na pół roku przed śmiercią, del Portillo był ponownie w Polsce.

Wkrótce po nominacji na prałata, drugi następca Escrivy, Javier Echevarría (który towarzyszył del Portillo podczas poprzednich wizyt) przebywał w Polsce w **kwietniu 1995** roku przez kolejne cztery dni.

Jesienią 1995 roku niewielka grupa wiernych Dzieła zamieszkała w Krakowie, między innymi po to, by odpowiedzieć na nalegania Papieża Polaka z tego miasta, który raz po raz przypominał prałatowi w Rzymie, że "Opus Dei nie zacznie prawdziwie działać w Polsce, dopóki nie będzie w Krakowie". Obecnie funkcjonują tam dwa ośrodki. W **latach 1997/98** otwarto kolejne ośrodki w Poznaniu.

W **sierpniu 2005** roku Echevarría był ponownie w Polsce, aby uczestniczyć w uroczystości ingresu arcybiskupa Stanisława Dziwisza. Odwiedził także Warszawę i Szczecin. Sala kongresowa Pałacu Kultury, z której łoży relacjonowałem trzy kongresy PZPR (w 1971, 1975 i 1980 roku),

wypełniła się po brzegi, by wysłuchać Echevarrúi. Oczywiście nie wszyscy uczestnicy spotkania byli wiernymi prałatury. Nie byłem obecny, ale jak zobaczyłem filmiki to się wzruszyłem.

Obecnie Prałatura ma w Polsce około 700 wiernych, z których 14. to numerariusze kapłani. 55% to mężczyźni, a 45% to kobiety. Ich wkład w Kościół lokalny jest znaczący: w ciągu kilku lat obecności w Polsce około 200 polskich księży studiowało na jednym z dwóch uniwersytetów Opus Dei w Europie: na wydziale teologicznym Uniwersytetu Nawarry lub na Pontificia Università della Santa Croce w Rzymie: niektórzy z nich byli moimi studentami podczas semestru, który prowadziłem na wydziale *Comunicazione istituzionale*, a później także podczas seminarium zorganizowanego w Polsce z

udziałem profesorów tego uniwersytetu.

Nieplanowana spontaniczność, która zawsze charakteryzowała Opus Dei, w logiczny sposób sprawiła, że środki formacji duchowej są udzielane w wielu innych miastach Polski. Udało mi się doliczyć co najmniej następujące: Wrocław, Lublin, Katowice, Gdańsk, Białystok, Toruń, Rzeszów, Radom, Siedlce, Łódź, Olsztyn, Płock, Legnica i Bydgoszcz.

[1] To nie mógł być Kozi Wierch. Wysokość nie ta. Kozi Wierch nie leży na głównej grani Tatr, tzn granicy ze Słowacją. Może Ricardo Estarriol połączył dwie tatrzańskie wędrówki? [tłum.]

pl/article/poczatki-pracy-apostolskiej-
opus-dei-w-polsce/ (01-04-2025)